

27 grudnia 2018



SŁUŻYMY
NIEPODLEGŁEJ

Nr okazyjny

POLSKA ZBROJNA

PISMO CODZIENNE

100. rocznica wybuchu Powstania Wielkopolskiego

W obliczu Boga Wszechmogącego, w Trójcy Świętej Jedynego, ślubuję, że Polsce, Ojczyźnie mojej, i sprawie całego Narodu Polskiego zawsze i wszędzie służyć będę, że kraju ojczystego i dobra narodowego do ostatniej kropli krwi bronić będę, że Komisarjatowi Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu i dowódcom i przełożonym swoim, mianowanym przez tenże Komisarjat, zawsze i wszędzie posłusznym będę, że w ogóle tak się zachowywać będę, jak to przystoi na mężnego i prawego żołnierza Polaka, że po zjednoczeniu Polski złożę przysięgę żołnierską, ustanowioną przez polską zwierzchność państwową.

Rota przysięgi Wojska Wielkopolskiego

TAK ZWYCIĘŻAĆ MAMY!

Wielkopolanie byli gotowi. Kiedy lód zaczął kruszeć, okazało się, że pomimo ponad wieku zniewolenia, pod jego cienką warstwą wciąż kipi gorący polski strumień, który teraz ma zamiar upomnieć się twardo o swoje prawo do ziemi. Zwycięskie powstania: wielkopolskie, śląskie, sejneńskie, wspierane ofiarnie przez mieszkańców tych ziem, nie przypominają typowych tradycji polskich insurekcji. Zbrojnym wystąpieniem Polaków sprzyjały tym razem polityczne okoliczności. Nic jednak nie przyszło łatwo.

Niemieckie zapędy do utrzymania status quo gaszone były przez wciąż rozrastającą się, potężną doborową armię Wielkopolan z jednej strony i polskie zaplecze polityczne we Francji z drugiej. Sto lat temu w walce o granice odradzającej się Rzeczypospolitej wykrwawiały się pokolenia naszych przodków. Pamiętajmy o ich ofierze!

Anna Putkiewicz
redaktor naczelny kwartalnika
„Polska Zbrojna. Historia”



Powstanie
śląskie

Powstanie
wielkopolskie



WIELKI



PROF. DR HAB. JANUSZ KARWAT,
kierownik Zakładu Studiów
Gnieźnieńskich Instytutu
Kultury Europejskiej
Uniwersytetu
im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu.

Wojsko Wielkopolskie było doborowe. Nie tylko obroniło zdobycze powstania, ale też pomogło ocalić niepodległość odradzającej się Rzeczypospolitej – podkreśla prof. Janusz Karwat.

Kiedy wybuchło powstanie wielkopolskie, do boju ruszyło około 10 tys. ochotników, Naczelna Rada Ludowa zaś stała do Warszawy apele: „wyznaczcie generała, który nami pokieruje”. Pół roku później Wielkopolska miała własne stutysięczne, doskonale wyszkolone i zaopatrzone wojsko. Laik powiedziałby: cud.

Nawet sam głównodowodzący, generał Józef Dowbor-Muśnicki, był tą sytuacją trochę zaskoczony. Kiedy na polecenie Józefa Piłsudskiego pojawił się w Poznaniu, liczył, że powstanie tutaj trzydziesto-, czterdziestotysięczny korpus, zorganizowany na wzór rosyjski. Tymczasem na początku czerwca 1919 roku miał nie tylko 100 tys. żołnierzy, ale też tyle samo ludzi w Straży Ludowej. Jej oddziały w każdej chwili mogły być wysłane na front i tak się zresztą działo. Dowbor-Muśnicki szybko zorientował się też, jak doskonale jest to wojsko. Potem w pamiętnikach nazywał je „dobrowym”. A przecież wcześniej niejedno widział. Służył w armii carskiej i począwszy od wojny rosyjsko-japońskiej zawsze jakąś formacją dowodził. Zwykle z powodzeniem.

Gdzie szukać początków tak potężnego wojska?

Wielkopolska była specyficznym regionem. W przygotowaniach do powstania wzięło udział całe tutejsze społeczeństwo. Trwały one od połowy XIX wieku. Polacy konsekwentnie budowali swoją pozycję społeczną i gospodarczą, a jednocześnie czekali na dogodny moment, by chwycić za broń. Mieli własne kierownictwo polityczne, czyli Naczelną Radę Ludową, która odpowiadała za budowę i finansowanie polskich struktur wojskowych. Kiedy powstanie wreszcie wybuchło, na utrzymanie wojska żyli sami Wielkopolanie – począwszy od ziemian, przez przedsiębiorców, aż po rzemieślników, robotników czy księży. Zbiórki na ten cel prowadzono nawet wśród uczniów.

Skąd rekrutowali się żołnierze?

Strukturę społeczną wielkopolskiego wojska badał kiedyś prof. Bogusław Polak, ja też analizowałem sporo dokumentów na ten temat. Wynika z nich, że najliczniej reprezentowani byli w nich robotnicy, a następnie mieszkańcy wsi: synowie gospodarzy i robotnicy rolni. Po nich następowali kupcy i rzemieślnicy. Ziemianie stanowili nieco ponad 1% żołnierzy. Do tego trzeba jeszcze dodać duchowieństwo. Księża w Wojsku Wielkopolskim tworzyli oddzielną strukturę,

na czele której znajdował się Dziekanat Generalny. Kierował nim duchowny w stopniu generała podporucznika, czyli generała brygady. Podlegało mu około 40 kapelanów.

Warto też wspomnieć, że do Wojska Wielkopolskiego wstąpiło kilkuset cudzoziemców. Byli to głównie jeńcy uwolnieni przez powstańców z obozów jenieckich: Francuzi, Włosi, Rosjanie (choć akurat ich dowódcy pozbyli się stosunkowo szybko; obawiali się zbolszewizowania), a nawet Niemcy. Pod Rawiczem na przykład na polską stronę przeszedł cały batalion Alzackich. Byli żołnierze czarnoskórzy, a nawet jeden Chińczyk, którzy przyjął potem obywatelstwo Rzeczypospolitej i spolszczył nazwisko na Czendefu.

Cofnijmy się jednak o kilka lat. Powstanie jeszcze nie wybuchło...

A młodzi Wielkopolanie masowo powoływani do armii pruskiej. Toczy się przecież wielka wojna, którą kilkadziesiąt lat później nazwiemy I wojną światową. Przechodzą solidne wojskowe przeszkolenie, wielu trafia potem na front, sporo też jednak dezertuje. Wracają do Wielkopolski i ukrywają się. To właśnie z nich działacz harcowski Wincenty Wierzejewski utworzył wkrótce konspiracyjną Polską Organizację Wojskową

Zaboru Pruskiego, która nawiąże kontakt z POW-em w Warszawie. Działacze zaczęli też młodszy, którzy z racji wieku nie zdążyli pójść w kamazę. Zasilają oni drużyny skautowe. Łącznie w przededniu powstania różnej maści konspiratorów jest w Wielkopolsce około tysiąca. A na tym nie koniec.

Po zakończeniu wojny członkowie Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” zaczęli tworzyć Straż Ludową. Była to paramilitarna organizacja, która miała chronić wieś i miasteczka przed wracającymi z wojny mordercami. W samym Poznaniu liczyła ona około 3 tys. ochotników. Członkowie Straży Ludowej łącznie mieli 1800 sztuk broni. Polacy wreszcie byli bardzo mocno reprezentowani w powołanej przez Niemców Straży Służby i Bezpieczeństwa.

Czym się tam zajmowali?

W listopadzie 1918 roku w Niemczech wybuchła rewolucja. Władzę przejęła Rada Pełnomocników Ludowych. Rady robotnicze i żołnierskie zaczęły powstawać w poszczególnych prowincjach oraz miastach. Ta poznańska zdominowana była przez Niemców, polscy działacze postanowili to jednak zmienić. Zorganizowali najście na ratusz, gdzie akurat odbywało się posiedzenie wydziału wykonawczego.



Rotmistrz Teodor Raszewski na czele kombinowanego szwadronu Pułku Konnych Strzelców Straży Poznańskiej (od 29 stycznia 1919 r. 1 Pułku Ułanów Wielkopolskich) podczas uroczystości zaprzysiężenia Wojsk Wielkopolskich w Poznaniu, 26 stycznia 1919 r.

POLSKI CUD

Trochę postrzelali, wrzucili do wnętrza granat i Niemcy ustąpili. Zyskaliśmy mocną reprezentację w radzie. A to właśnie jej podlegały formacje Służby Straży i Bezpieczeństwa, które strzegły porządku w garnizonach. Zgodnie z zaleceniami Berlina, panować miał w nich parytet, ale Polacy zdołali ten zakaz obejść, przyjmując tam, gdzie to było możliwe, rodaków noszących niemieckie nazwiska. Z jednej z takich kompanii wywodził się Franciszek Ratajczak, jedna z pierwszych ofiar powstania wielkopolskiego. W powstańczych oddziałach bardzo długo komendy wydawane były po niemiecku, bo po prostu u żołnierzy działały pewne automatyzmy.

Polacy mieli doskonałe rozeznanie, jeśli chodzi o siłę pruskiego garnizonu w Poznaniu i panujące w nim nastroje, mieli dostęp do niemieckiej broni, korzystali z niemieckiego żołdu. A jednocześnie pozwili przygotowywali się do powstania.

Niemcy nie wiedzieli, co się święci?

Polacy rozegrali to po mistrzowsku. Mieli swoich ludzi w radach garnizonowych. Z jednej strony wiedzieli o każdym ruchu pruskich wojsk, z drugiej ślali do Berlina uspokajające meldunki. Jeszcze sześć – siedem dni po wybuchu powstania

do Niemiec płynęły meldunki: „panujemy nad sytuacją”. Polacy mieli swoich ludzi na Cytadeli, w poznańskich fortach, nawet na lotnisku Ławica. Dlatego właśnie kluczowe ze strategicznego punktu widzenia obiekty przejmowano bez walki albo po krótkotrwałej wymianie ognia.

Przez cały ten czas mieliśmy jednak dopiero zacząć prawdziwego wojaka?

Tak, pierwsze tygodnie to walki partyzanckie z udziałem 9 tys., może 10 tys. powstańców. Pamiętać musimy, że powstanie wybuchło trochę przypadkowo. Owszem, było planowane, ale dopiero na połowę stycznia. Tymczasem 26 grudnia 1918 roku do Poznania przyjechał Ignacy Jan Paderewski i wydarzenia na chwilę wymknęły się spod kontroli. W Wielkopolsce istniały już załóżki regularnych oddziałów, była namiastka sztabu, którym kierowali młodzi oficerowie Mieczysław Paluch i Bohdan Hulewicz, ale brakowało głównodowodzącego – doświadczonego stratega, który zintegrowałby oddziały, przygotował plany operacyjne i taktyczne. I tej roli początkowo nikt nie chciał się podjąć. Wojna dopiero co się zakończyła, a odrodzona Rzeczpospolita musiała walczyć o granice na wschodzie. Do tego w Warszawie dochodziło do ostrych politycznych tarć.

Ostatecznie Józef Piłsudski zatwierdził zaproponowanego przez NRL i przebywającego w Poznaniu kpt. Stanisława Taczaka. Został on awansowany do stopnia majora, stworzył sztab, podzielił region na dziewięć okręgów wojskowych, by w połowie stycznia 1919 roku oddać władzę gen. Dowborowi-Muśnickiemu.

Powstanie trwało już wtedy w najlepsze.

Walki szybko rozlały się prawie na całą Wielkopolskę. Lokalni ochotnicy, byli żołnierze armii niemieckiej, najczęściej członkowie „Sokoła” wyzwolili swoje rodzinne miejscowości. Do oddziałów napływali kolejni ochotnicy.

Nie byli zmęczeni wojną?

To jest właśnie fenomen powstania. Czasem próbuję wejść w rolę ówczesnych Wielkopolan i... mam wątpliwości, czy zdołałbym postąpić tak, jak oni. Przez długie miesiące, czasem lata, byli poza domem, narażali się na śmierć, widzieli te wszystkie wojenne okropności, ale zdołali jednak przetrwać i wrócić. Dopiero co spędzili święta Bożego Narodzenia w gronie najbliższych i znów mieli ruszyć do walki. Pewnie niejeden z nich słyszał: „zostań, po co się narażać? Masz gospodarstwo, warsztat, pilnuj tego”. A jednak szli. Choćby bamberska rodzina Mellerów z Lubonia. Do powstania poszedł ojciec i czterech synów. Jeden z nich zginął. Albo rodzina kołodzieja Kunickiego z Gniezna. Walczył pięćdziesięciokilkuletni ojciec i czterech synów. Poległo dwóch.

A kiedy ostatecznie partyzanckie oddziały zastąpiono regularną armią?

Dowbor-Muśnicki objął dowodzenie 16 stycznia. Następnego dnia ogłosił pierwszy pobór do Armii Wielkopolskiej. Objął trzy roczniki: 1897, 1898 i 1899. Natomiast 18 stycznia front walk został podzielony na kilka odcinków, a powstańcze oddziały włączono w armijne struktury. Wreszcie przyszedł 26 stycznia i pierwsza przysięga na placu Wilhelmskim, czyli dzisiejszym placu Wolności. Była msza

święta z płomiennym kazaniem dziekana generalnego ks. Zygmunta Dykierta, wręczenie sztandarów ufundowanych przez mieszkańców, tysiące widzów.

I pierwszy zgrzyt.

Żołnierze mieli przysięgać na wierność Naczelnej Radzie Ludowej. Tymczasem wraz z Dowborem-Muśnickim do Wojska Wielkopolskiego ściągnęli byli legionści, którzy twierdzili: „myśmy już raz przysięgali, tyle że rządowi polskiemu w Warszawie”. W podobnej sytuacji byli żołnierze oddziałów z Ostrowa. Oni usiłowali wywołać powstanie jeszcze w listopadzie 1918 roku, ale ostatecznie wycofali się za pobliską granicę, do odradzającej się Rzeczypospolitej. I oni również zdążyli przysiąc jej wierność. Ostatecznie kryzys udało się zdusić w zarodku, ale niesnasek nie brakowało.

Dowbor-Muśnicki miał bardzo trudny charakter. Wyniósł nawyki z carskiej armii, był zwolennikiem żelaznej dyscypliny, czepiał się drobiazgów. Podlegających mu żołnierzy potrafił zrugać za byle co, na przykład nakrzyczeć na dobosza za to, że wszedł na plac od niewłaściwej strony. Był z przekonania monarchistą. W wojsku, jak utrzymywał, nie ma miejsca na demokrację, czy wiecowanie. Tymczasem w Wielkopolsce zastał powstańcze kompanie dowodzone przez sierżantów. Władzę oddawali im sami żołnierze, którzy znali się z nimi choćby z towarzystw sokolich. Wszyscy zwracali się do siebie po imieniu, czasem „druhu dowódco”, czy „druhu komendancie”. Trudno im było zaakceptować nowy sposób dowodzenia. Tym bardziej, że Dowbor-Muśnicki wkrótce zastopował ich bojowy zapal.

ciąg dalszy na następnej stronie

dokończenie ze str. 3

W pierwszych tygodniach walk powstańcy zdobyli ogromne połacie Wielkopolski. Chcieli iść dalej na Pomorze. A dowództwo powiedziało: stop. Powód? Na wschodzie była jeszcze spora liczba niemieckich żołnierzy. Przegrali wojnę i teraz chcieli wrócić do domów. Wyznaczony został dla nich korytarz przez Bydgoszcz, Nakło i Krzyż. Było to w naszym interesie, bo mogli oni stanowić zagrożenie dla odradzającej się Polski. Ale prostym żołnierzom trudno było zrozumieć wielką politykę. Powtarzali: „od tak dawna siedzimy w okopach i nic się nie dzieje”. Wielu z nich straciło motywację do dalszej walki, zaczęły wybuchać bunt, powstańcy nawet całymi kompaniami wracali z frontu. Stukilkudziesięciu żołnierzy trzeba było nawet internować. Zostali zamknięci w poznańskim Forcie Grolman, groził im sąd wojenny.

Koniec końców jednak wojsko się konsolidowało i rozrastało.

Do końca lutego 1919 roku liczyło 28 tys., a już w czerwcu miało przeszło 100 tys. żołnierzy, z czego 70 tys. w jednostkach liniowych. Rozpoczął się też podział na rodzaje wojsk. Prócz piechoty, wspomaganej przez kompanie karabinów maszynowych, Wojsko Wielkopolskie miało trzy brygady artylerii, artylerię ciężką, konną, dywizjon samochodów pancernych, pancerne pociągi, saperów, rozbudowane lotnictwo przejęte po zdobyciu lotniska Ławica (do działań w powietrzu nadawały się aż 74 samoloty), a nawet wojska balonowe zajmujące się rozpoznaniem. W Ławicy została uruchomiona szkoła oficerska dla pilotów. Do tego dochodziła świetnie zorganizowana służba sanitarno-medyczna. Jej filar stanowili lekarze po niemieckich uczelniach, którzy nierzadko mieli za sobą praktykę na frontach I wojny światowej. Wreszcie wojska techniczne, choćby wojska samochodowe i bataliony łączności. W Wielkopolsce łatwo im było operować, bo region mógł się pochwalić doskonałą infrastrukturą, na przykład rozbudowanymi liniami kolejowymi.

Z tego można wnioskować, że Wojsko Wielkopolskie było również nie najgorzej wyposażone?

Zdecydowanie. Garnizon poznański zarówno przed wojną, jak i podczas jej trwania pełnił funkcję potężnego zaplecza logistycznego. To tutaj zaopatrywano pruskie oddziały idące na front wschodni i francuski. W fortach znajdowały się magazyny żywności, w samym mieście działały zakłady, w których sztyto mundury, produkowana była amunicja, w zakładach Cegielskiego naprawiano armaty. W przemyśle, który wiązał się z wojskiem, pracowało kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców Poznania.

Kiedy wybuchło powstanie, Niemcy zdolali trochę wyposażenia wywieźć. Tak stało się na przykład z artylerią ciężką, która stacjonowała na Sołaczu. Wiele jednak udało się przejąć. Dla potrzeb Wojska Wielkopolskiego udało się naprawić i przygotować do działania około 150 armat niemieckich i rosyjskich, była produkowana amunicja artyleryjska i strzelecka, poza tym Polacy rozbierali wycofujących się żołnierzy pruskich. Wielu z nich gotowych było oddać karabin i pistolet, bo marzyło już tylko o powrocie do domów. Wojsko Wielkopolskie zaopatrzone zostało też w oryginalne mundury.

Wojsko Wielkopolskie było wspomagane przez rząd w Warszawie?

Raczej odwrotnie. Tereny Rzeczypospolitej były zniszczone na skutek działań wojennych, a Polacy musieli walczyć o granice z Ukraińcami, bolszewikami, Litwinami, wojskami czechosłowackimi. W dodatku Piłsudski miał tylko 30 tys. ludzi. Wielkopolska wysyłała im broń, żołnierzy, na przykład zaraz po zdobyciu przez powstańców Ławicy do Polski przerzucono część samolotów. Pomoc płynęła nie tylko tam. Wielkopolanie bardzo mocno logistycznie wspierali również powstania śląskie.

A w jaki sposób do jego powstania odnosiła się Zagranica?

Francuzi od samego początku bardzo mocno nas popierali, a nawet zachęcali do rozbudowy wojska. Oni po prostu wszelkimi siłami dążyli do maksymalnego osłabienia Niemiec. Nad Sekwaną panowały silne nastroje odwetowe. Francja ciągle jeszcze pamiętała rok 1871 i utratę Alzacji i Lotaryngii. W dopiero co zakończonej wojnie zginęło 6 mln Francuzów, kraj zaś poniósł ogromne straty gospodarcze. Francuzi chcieli, by nigdy więcej się to nie powtórzyło, a klucz do takiego rozwiązania widzieli w rozbiciu Niemców, odebraniu im samolotów, okrętów, a także silnych gospodarczo regionów, takich jak: Nadrenia, Górny Śląsk i Wielkopolska.

Inaczej na to spoglądali Brytyjczycy, którzy chcieli na kontynencie równowagi sił. Polska według nich nie mogła być zbyt silna, dlatego choć nie torpedowali specjalnie budowy Wojska Wielkopolskiego, to jednocześnie popierali niepodległościowe dążenia Ukraińców, którzy przecież toczyli z Rzeczypospolitą wojnę o granice. Sami Niemcy byli państwem przegranym i nie mieli praktycznie nic do powiedzenia.

Kiedy Wojsko Wielkopolskie ostatecznie weszło w skład Wojska Polskiego?

Proces scalania rozpoczął się już w maju 1919 roku. Wówczas to w Kaliszu doszło do spotkania trzech Józefów: Piłsudskiego, Hallera i Dowbora-Muśnickiego. W efekcie Wojsko Wielkopolskie zostało podporządkowane Naczelnemu Dowództwu Wojska Polskiego, a Straż Ludowa przekształciła się w Wojsko Obrony Krajowej. Sam Dowbor został dowódcą całego frontu niemieckiego, który rozciągał się od Ciechanowa przez Wielkopolskę, Górny Śląsk, aż po Cieszyn i funkcjonował do marca 1920 roku.

Takie scalenie było na rękę wszystkim. Wielkopolska mimo wszystko liczyła na wsparcie. Rząd w Warszawie oczekiwał jeszcze większej pomocy w walkach na wschodzie. Pierwsza ochotnicza kompania licząca 204 żołnierzy jeszcze wiosną 1919 roku wyruszyła do południowej Wielkopolski, by walczyć z Ukraińcami. Przeprowadziła między innymi skuteczny szturm na miejscowość Poczapy. Potem z oddziałami ukraińskimi biła się Grupa Wielkopolska płk. Daniela Konarzewskiego, w której skład prócz piechoty wchodziło lotnictwo i ciężka artyleria. W sumie przez front ukraiński przewinęło się około 8 tys. Wielkopolan.

Jednak była to zaledwie przygryzka do dużo większej batalii.

Żołnierze z Wielkopolski mieli ogromne zasługi w wojnie przeciwko bolszewikom. Jako pierwszy z oddziałami Armii Czerwonej startł się Poznański Ochotniczy Batalion Śmierci. Został sformowany z żołnierzy, którzy walczyli w powstaniu, ale mieli na sumieniu wykroczenia przeciwko dyscyplinie wojskowej, bunt. Na

wschodzie ich symbolem stały się trupie główki na czapkach. Wielkopolanie wielokrotnie wykazywali się niesamowitą odwagą i oddaniem, ponosili przy tym jednak ogromne straty. Tak często dzieje się w przypadku oddziałów karnych, które posyłane są na najcięższe odcinki. Potem dołączyli do nich żołnierze elitarnej 14 Dywizji Piechoty pod dowództwem teraz już gen. Konarzewskiego, którzy okazali się niezwykle skuteczni podczas trwającej prawie rok obrony w pobliżu Bobrujska. Na szczególne uznanie zasłużyli jednak w sierpniu 1920 roku w Bitwie Warszawskiej.

Oddziały z Wielkopolski brały udział w ofensywie znad Wieprza, która odwróciła losy batalii. W pobliżu swoje stanowisko dowodzenia miał Piłsudski. Obserwował naszych żołnierzy i nie mógł wyjść

z podziwu dla ich umiejętności i waleczności. To wtedy czerwonoarmiści zaczęli określać ich mianem „rogatych diabłów” od kształtu rogatywek, a przede wszystkim od zaciekłości, z jaką szli do ataku. Bolszewicki komisarz Jewgienij Kakurin wspominał potem, że spośród polskich wojsk właśnie te oddziały cenił najwyżej, na drugim miejscu wymienił hallerczyków, dalej oddziały legionowe, wreszcie formacje syberyjskie. Wtedy wszystkie je można było łatwo rozpoznać, bo żołnierze nosili jeszcze różne mundury. Potem jeszcze Wojsko Wielkopolskie dało się bolszewikom mocno we znaki podczas operacji niemeńskiej. W dużej mierze to właśnie dzięki niemu udało się obronić polską państwowość.

Rozmawiał Łukasz Zalesiński

FORTEL POLSKICH SKAUTÓW

Wincenty Wierzejewski na czele kompanii skautów bez jednego wystrzału zdobył w czasie powstania wielkopolskiego umocniony fort obsadzony niemieckimi żołnierzami. Wykorzystał do tego... ich niechęć do sprzątania.

Największym problemem miejskich powstań jest zdobycie silnie obsadzonych punktów stacjonowania lokalnych garnizonów. Nie inaczej było w Poznaniu w trakcie pierwszych dni powstania wielkopolskiego, które w grudniu 1918 roku wybuchło w zachodniej dzielnicy Polski. Aby całkowicie opanować miasto, powstańcy musieli zająć m.in. Fort Grolman, część umocnień twierdzy Poznań.

Zadanie to przypadło oddziałowi skautów pod dowództwem Wincentego Wierzejewskiego. Wiedział on, że szturm na fort lekkiej piechoty pozbawionej artylerii skończyłby się krwawą łaźnią. Zagrał więc *va banque*. Na czele swojego oddziału podszedł wprost pod bramę koszar i zażądał spotkania z dowódcą. Poinformował następnie niemieckiego oficera, że dostał rozkaz zajęcia fortu i złuzowania obecnej załogi. Fort miał być opuszczony, by przygotować miejsce dla jadących do Poznania jednostek niemieckiej armii. Niemiec początkowo nie chciał uwierzyć polskiemu żołnierzowi, który nie miał przecież żadnego dokumentu poświadczającego wydanie takowego rozkazu, ale pewność siebie Wierzejewskiego okazała się wystarczająco przekonującą.

Niemiecki garnizon nie miał wielkiej ochoty do walki, ale też nie zamierzał opuszczać koszar. Sytuacja wyglądała na patową. Wtedy Wierzejewski wpadł na kolejny sprytny pomysł. Nakazał swoim żołnierzom obwieścić Niemcom, że 20 ostatnich, którzy będą zwlekać z opuszczeniem Fortu Grolman, będzie musiał go najpierw wysprzątać. Jak wspominał po latach sam pomysłodawca: „z tą chwilą komendant już nie miał władzy nad nimi i wszyscy na gwałt opuścili koszary”.

Polski oddział zadbał nawet o biurokratyczną

stronę całej maskarady. Powołana została specjalna komisja, która wystawiała niemieckim żołnierzom dokumenty uprawniające do odbycia podróży w rodzinne strony. Operacja przebiegała dość sprawnie. Ustawieni w kolejce Niemcy spokojnie czekali, by jeden po drugim załatwiać formalności. Gdy po odebraniu dokumentów zegnali nową załogę fortu tradycyjnym „auf Wiedersehen”, czyli „do zobaczenia”, byli pouczani, by jednak nie wracali więcej do Polski. Następnym razem, przestrzegali powstańcy, nie będą już mieli okazji, by tak spokojnie i bezkrytycznie opuścić swój posterunek.

Fortel Wierzejewskiego udał się w stu procentach. Silnie umocniona pozycja została zdobyta bez strat, Polacy rozbili oddział nieprzyjaciela, a w ich ręce wpadły duże ilości broni strzeleckiej, karabinów maszynowych, amunicji oraz pojazdy tak potrzebne do dalszej walki w powstaniu. Sam fort stał się natomiast bazą dla oddziału skautów, który już wkrótce został przeformowany w jednostkę wojskową z prawdziwego zdarzenia – 1 Pułk Strzelców Wielkopolskich.

Maciej Chilczuk

Rekonstruktorzy w mundurach skautów Wierzejewskiego



PIERWSZY SMAK WOLNOŚCI

„A generał Dąbrowski wpada do Poznania / I cesarski przynosi rozkaz: do powstania!”
Tak o początku antypruskiego zrywu Polaków pisał w „Panu Tadeuszu” Adam Mickiewicz.



Wjazd Jana Henryka Dąbrowskiego do Poznania, mal. Jan Gładysz, około 1809 roku

14 października 1806 roku podczas wojny z IV koalicją antyfrancuską Napoleon Bonaparte i marszałek Louis Nicolas Davout rozgromili wojska pruskie w bitwach pod Jeną i Auerstädt. Pomimo druzgocącej klęski Prusy nie skapitulowały – król Fryderyk Wilhelm III zbiegł do twierdzy w Królewcu i oczekiwał na pomoc sojuszniczej Rosji. Aby uniemożliwić odbudowę armii pruskiej oraz uzyskać strategiczną przewagę nad Rosjanami, Napoleon musiał zająć obszar między Odrą a Wisłą. Postanowił wykorzystać militarny

potencjał Polaków żyjących pod zaborem pruskim. Wezwał do siebie doświadczonego gen. Jana Henryka Dąbrowskiego i polecił mu organizację wojsk polskich, sięgających zamieszanie na tyłach przeciwnika. Generałowi miał towarzyszyć Józef Wybicki, autor słów dzisiejszego hymnu Polski.

Polacy stają do walki

Kryzys Prus wzbudził w polskich poddanych nadzieję na zrzućenie zaborczego jarzma. Emisariusze donosili Napoleonowi o wzroście patriotycznych nastrojów wśród Wielkopolan. Zaczęły się liczne dezercje Polaków z armii pruskiej. Dąbrowski i Wybicki 3 listopada 1806 roku wydali odezwę, zawierającą słowa: „Polacy! Od was więc zawisło istnieć i mieć ojczyznę: wasz zemściciel, wasz stwórca się zjawił. [...] Powstańcie i przekonajcie go iż gotowi iścieście i krew toczyć na odzyskanie ojczyzny”. Trzy dni później dotarli do zajętego przez Francuzów Poznania, gdzie entuzjastycznie przywitały ich tłumy mieszczan. Wielkopolska zawrzała; rozpoczęło się zbrojne wystąpienie przeciwko władzom pruskim. W wyzwolanych miastach departamentu poznańskiego po-

woływano jednostki Gwardii Narodowej, pełniące służbę garnizonową.

Powstanie następnie objęło departament kaliski. Uzbrojony lud opanował między innymi Kalisz, Konin i Kępno. Z dnia na dzień insurekcja przybierała na sile, akces zgłosili obywatele powiatu sieradzkiego, którzy nie czekając na rozkazy z Poznania, zabrali się do formowania sił zbrojnych. Za broń chwycili nawet mieszkańcy zachodniej części departamentu warszawskiego. 16 listopada Dąbrowski oficjalnie zarządził pobór rekruta do odradzającej się armii polskiej. Wybicki organizował aprowizację oddziałów. Do szeregów powoli napływali dawni oficerowie przedrozbiorowej Rzeczypospolitej oraz Legionów Polskich we Włoszech.

Polacy wespół z Francuzami zmyślnym fortem zdobyli Jasną Górę. Dowódca kaliskiej partii powstańczej kpt. Kacper Miaskowski zebrał okolicznych chłopów i kazał im rozpaść w nocy setki ognisk dookoła świętej twierdzy. Przerażeni Prusacy myśleli, że pod murami klasztoru stanęła silna armia, wobec czego rankiem 19 listopada ogłosili kapitulację. W grudniu departamenty poznański i kaliski były

już zupełnie wolne od wojsk pruskich, w bydgoskim trwały jeszcze działania zbrojne pod dowództwem gen. Antoniego Amilkara Kosińskiego. Napoleon, doceniając zaangażowanie Polaków, rozważał kwestię polskiej państwowości – potrzebował buforowego państwa, by móc szachować swoich przeciwników.

Finał I wojny polskiej

Akcja powstańcza na jesieni 1806 roku była sukcesem organizacyjnym i politycznym. Wiele miast oswobodzono własnymi siłami. Polacy mogli poczuć smak wolności, występowali w roli gospodarzy, witających żołnierzy francuskich. Sformowane podczas insurekcji regularne dywizje – łącznie ponad 20 tys. żołnierzy – wsparły Francuzów w tzw. I wojnie polskiej, uczestniczyły w zdobywaniu Tczewa i Gdańska. Wojnę z Prusami i Rosją zakończyły traktaty w Tylży. Zwycięski Napoleon powołał do życia Księstwo Warszawskie, uzależnione od Francji państwo, będące namiastką Polski. Armia stworzona przez Dąbrowskiego stała się jednym z filarów wojsk Księstwa Warszawskiego.

Mateusz Napieralski WCEO

Krażownik Oszka

W III powstaniu śląskim walczył samodzielny oddział szturmowy. Tworzyło go ponad 60 marynarzy.

Ślężacy słyną z uporu. Tę regułę potwierdzał Robert Oszek, który tak bardzo marzył o karierze marynarza, że w wieku 15 lat uciekł z domu i zaciągnął się na niemiecki statek wielorybiczny. Następnie wstąpił do szkoły marynarskiej Kaiserliche Marine w Murwik pod Flensburgiem. Ukończywszy naukę, otrzymał przydział na krażownik SMS „Bremen”. Pod koniec I wojny światowej dowodził torpedowcem, a w styczniu 1919 roku wrócił do Polski i od razu zaciągnął się do marynarki wojennej. Po weryfikacji, w stopniu podporucznika marynarki objął służbę w porcie wojennym w Toruniu, a od 1920 roku we Flotylli Pińskiej, w której szeregach wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej.

W lutym 1921 roku Oszka awansowano do stopnia porucznika marynarki i urlopowano. Jakież było jego zdziwienie, kiedy po urlopie został poinformowany, że otrzymał przydział do walki na lądzie. Porucznik jako Ślązak został skierowany na Górny Śląsk, gdzie równocześnie szykowano się do plebiscytu mającego rozstrzygnąć przynależność państwową tej dzielnicy i do kolejnego powstania na wypadek niekorzystnego dla Polski wyniku. Oszek nie zamierzał jednak żegnać się z marynarskim mundurem. W sztabie zapowiedział: „Ja, oficer marynarki, na piechotę walczyć nie będę!”. 27 lutego 1921 roku por. Oszek zgłosił się do Dowództwa Obrony Plebiscytu w Sosnowcu. Przyprowadził z sobą kilkudziesięciu marynarzy Flotylli Pińskiej i odnowił kontakty z polskimi weteranami z Kaiserliche Marine. Dzięki temu na



Oszek przy swoim krażowniku szos

początku maja do walki w III powstaniu śląskim gotowy był samodzielny oddział szturmowy. Tworzyło go ponad 60 marynarzy ubranych w większości w swe marynarskie mundury. Oddział zachował także okrętowe zwyczaje – panowała w nim żelazna dyscyplina. Jednocześnie porucznik spełnił swoją obietnicę, że nie zostaną rzućeni do walki jako piechota, tylko „będą mieli pod nogami pokład”. Oddał do dyspozycji oddziału ciężarówkę przejętą z Huty „Baildon” w Katowicach, a trzy z nich od razu przetrzebiono na samochody pancerne. Zmotoryzowani marynarze por. Oszka zostali podporządkowani bezpośrednio Naczelnej Komendzie Wojsk Powstańczych. Dzięki swej mobilności i sile ognia odgrywali w czasie walk rolę ruchomego odwodu.

Marynarze ochrzczili swe wozy mianem krażowników szos i rzeczywiście, często decydowały one o przeło-

mie w potyczkach z niemieckimi wojskami. Tak było m.in. w krwawych walkach o Górę Świętej Anny na przełomie maja i czerwca 1921 roku. Wtedy też Oszkowi kilka razy zagrażała w oczy śmierć, a raz dosłownie, kiedy pocisk trafił w lornetkę, przez którą obserwował on przedpole. Na szczęście kula zrykoszetowała, ale zraniła porucznika w bok, a twarz pokiereszowały mu odłamki z rozbitej lornetki. W czasie innej akcji został ranny w dłoń, ale ani za pierwszym, ani za drugim razem, po opatrzeniu ran, nie pozwolił się odesłać na tyły. W jego samochodzie również obowiązywała zasada, że kapitan z pokładu schodzi ostatni. Gdy walki się zakończyły, por. Robert Oszek otrzymał Virtuti Militari i awans na kapitana. Po przejściu w stan spoczynku został kierownikiem hurtowni tytoniu w Katowicach – była to prawdziwa nagroda dla tego miłośnika fajki.

Piotr Korczyński



Prof. zw. dr hab. Ryszard Kaczmarek, historyk, profesor nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, badacz dziejów Górnego Śląska w XIX i XX wieku.

CZARNA PERŁA

O wyjątkowości powstań śląskich z prof. Ryszardem Kaczmarkiem rozmawia Piotr Korczyński.

Drugie powstanie śląskie uważane jest za jedno z nielicznych zwycięskich powstań polskich, choć nie mogło być wsparte przez resztę kraju walczącego z bolszewickim najazdem. Co o tym zdecydowało?

To powstanie jest rzeczywiście ewenementem i jego geneza sięga głęboko wydarzeń, o których pan wspominał, czyli ówczesnej sytuacji Polski. Trzeba się tutaj cofnąć do początków 1920 roku. Wtedy to z terenów Górnego Śląska, które miały być objęte plebiscytem, całkowicie wycofały się wojska niemieckie. O tym się często zapomina, ale od tego roku nie było tutaj ani osławionego Grenzschutzu, który tak dał się we znaki Polakom w czasie I powstania śląskiego, ani innych regularnych formacji niemieckich. Na Górnym Śląsku stacjonowały już oddziały alianckie, przede wszystkim francuskie, w mniejszej liczbie włoskie i brytyjskie. Niemcom natomiast musiała na Górnym Śląsku wystarczyć policja – Sicherheitspolizei, tzw. Sipo (przez Ślązaków zwana popularnie zicherką), która teoretycznie była pod kontrolą aliantów.

Pierwsza połowa 1920 roku wypełniona była na Górnym Śląsku różnego rodzaju incydentami, wynikającymi z coraz ostrzejszego konfliktu narodowościowego. Do najgłośniejszych należały dwa. Pierwszy

wydarzył się w Opolu, gdy w czasie demonstracji żołnierze francuscy zabili niemieckiego obywatela. Drugi, z czerwca 1920 roku – w Bytomiu, kiedy po demonstracjach doszło do napadu na siedzibę Polskiego Komisarzatu Plebiscytowego. Te wydarzenia odbiły się na Górnym Śląsku szerokim echem. Jednocześnie musimy je widzieć w szerszej perspektywie tego, co działo się wtedy w Rzeczypospolitej. Najpierw były olbrzymie nadzieje i triumf po wkroczeniu wojsk polskich oraz ukraińskich do Kijowa, a następnie w błyskawicznym tempie pogarszała się sytuacja na froncie wojny polsko-bolszewickiej. Odwrót z Ukrainy łączono na Śląsku z porażką polskiej dyplomacji w konflikcie z Czechosłowacją, polegającą najpierw na rezygnacji z plebiscytu na Śląsku Cieszyńskim, a potem niekorzystnym rozstrzygnięciu arbitrażu na korzyść Pragi. Podział Śląska Cieszyńskiego na dwie części odebrano na byłym pruskim Górnym Śląsku jako porażkę Polski, a prawdziwa trwoga zapanowała latem 1920 roku na wieść o dojściu Armii Czerwonej do linii Wisły. Rząd niemiecki w lipcu 1920 roku podjął starania mające zapobiec ewentualnemu wkroczeniu wojsk sowieckich na teren Niemiec. Jak wiemy, Niemcy podpisali porozumienie z Sowietami, które zabezpieczało ich granice.

Ale nie obejmowało ono granicy pomiędzy Górnym Śląskiem a Polską, ponieważ teren ten formalnie podlegał jurysdykcji nie Berlina, lecz Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej i Plebiscytowej w Opolu. Teoretycznie więc Armia Czerwona mogła tutaj wkroczyć, nie łamiąc porozumienia z Berlinem. To właśnie stało się pretekstem do niemieckich protestów na obszarze Górnego Śląska. Głoszono, że należy się zabezpieczyć przed wkroczeniem wojsk sowieckich, że Polska już w zasadzie poniosła klęskę. Sytuacja z połowy sierpnia 1920 roku spowodowała, że Niemcy przygotowali cały ciąg demonstracji w większych miastach Górnego Śląska. Wtedy to w Katowicach doszło do rozruchów na dużą skalę, łącznie z zaatakowaniem żołnierzy francuskich w centrum miasta i zamordowaniem znanego lekarza polskiego Andrzeja Mieleckiego.

Na te niemieckie demonstracje Wojciech Korfanty odpowiedział hasłem do wybuchu powstania. Skończyło się ono zwycięstwem przede wszystkim dlatego, że Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska, w odróżnieniu od tego, co było w roku 1919, dobrze się do niego przygotowała. Ponadto w regionie nie było wtedy żadnych regularnych wojsk niemieckich. Jedynym przeciwnikiem była Sipo, ale ta policyjna formacja

była słabiej uzbrojona niż regularne wojsko, tylko w indywidualną broń strzelecką, co stwarzało szanse dla sił powstańczych. Istotnym czynnikiem było też to, iż większość miast na terenie plebiscytowym znajdowała się pod kontrolą francuską, a dokładnie – centra tych miast. To powodowało, że można było liczyć na francuską sympatię, a przede wszystkim na brak interwencji Francuzów przeciwko polskim powstańcom. Dzięki



WRACA DO KORONY

temu peowiacy dość szybko opanowywali mniejsze miejscowości czy tereny wiejskie, nie prowokując konfliktu z aliantami, a także peryferie górnośląskich miast do linii Odry, ich centra zaś zostawiali w rękach alianckich. Rezygnacja z zajmowania dużych ośrodków wynikała także z przewagi w nich ludności niemieckiej. Aż 60–70% ich mieszkańców opowiadało się po stronie niemieckiej, podczas gdy w mniejszych miejscowościach, zwłaszcza we wschodniej części Górnego Śląska, sympatyzowano z Polską.

Sukces II powstania wynikał z jasno sprecyzowanego celu politycznego, którym była likwidacja znienawidzonej przez ludność polską „zicherki”. I to się udało, dając podstawę do porozumienia i zakończenia walki. Należy podkreślić, że powstanie zostało świetnie przeprowadzone dzięki wspomnianemu precyzyjnemu określeniu celów, szybkiej akcji zbrojnej, czyli wykorzystaniu elementu zaskoczenia i tak istotnemu w działaniach powstańczych nieprzedłużaniu walk na skutek podpisania porozumienia przed pojawieniem się nieuchronnych problemów logistycznych. W II powstaniu śląskim objawił się kunszt organizacyjny i polityczny Wojciecha Korfanteo, sprawnie łączącego cele polityczne z akcjami zbrojnymi.

Dlaczego rząd polski do samego końca nie chciał oficjalnie poprzeć III powstania śląskiego?

Odpowiedź na to pytanie jest dosyć prosta. Zaczniemy od tego, że rząd niemiecki także nie poparł oficjalnie Selbstschutzu, czyli formacji, która walczyła z wojskami powstańczymi. Obydwie strony, zarówno niemiecka, jak i polska, podpisały i ratyfikowały traktat wersalski. Zgodnie oba państwa uznały, że rozstrzygnięcia terytorialne na Górnym Śląsku zapadną na drodze plebiscytu. Deklaracja oficjalna, że popieramy powstanie, oznaczałaby w zasa-

Grupa powstańców z pistoletami Mawer C96, karabinem Mawer wz. 98 i lekkim karabinem maszynowym MG 08/15

dzie wypowiedzenie traktatu z wszystkimi konsekwencjami. Dotyczyłyby one nie tylko Śląska, lecz także Wielkopolski oraz tzw. korytarza. Trudno więc sobie wyobrazić, że Polska mogłaby oficjalnie poprzeć powstanie. Mogła brać w obronę ludność polską na terenie plebiscytowym i protestować przeciwko niemieckim represjom. Pomoc wojskowa dla powstania mogła iść z Rzeczypospolitej tylko nieoficjalnie i tak się działo, podobnie zresztą jak po stronie niemieckiej.

Kiedy zakończyło się II powstanie śląskie, rozpoczęto bardzo intensywne zmiany w strukturze konspiracji wojskowej na Górnym Śląsku. Polegały one przede wszystkim na wprowadzeniu w struktury konspiracji polskich oficerów zawodowych, w dużej mierze związanych z II Oddziałem Sztabu Głównego, czyli z wywiadem i kontrwywiadem. Oni to przekształcali konspiracyjne struktury wojskowe, mające charakter skadrowany, nastawione najczęściej na zadania wywiadowcze czy dywersyjne, w siły zdolne do podjęcia walki pozycyjnej na rozciągniętym froncie. W obu wcześniejszych powstaniach walczone raczej niewielkimi oddziałami w sile kompanii, był to początkowo najwyższy stopień organizacji konspiracji górnośląskiej. Od jesieni 1920 roku zaczęto przygotowania do walk na wielką skalę. Organizowano pułki, łącząc kompanie w poszczególnych powiatach, a w czasie powstania utworzono nawet powstańczą dywizję. Dowodzenie takimi jednostkami, jeśli nawet mówimy o bardzo uproszczonym modelu pułku piechoty, wymagało wykorzystania wiedzy i umiejętności zawodowych oficerów, którzy mogli zostać przysłani tylko z Polski.

Nie należy przy tym zapominać, że skoro miała to być wielotysięczna formacja, potrafiąca opanować i utrzymać znaczny teren, to należało ją odpowiednio do tego uzbroić i zabezpieczyć materiałowo. Tutaj powołam się na jeden z zachowanych raportów. W III powstaniu śląskim przewinięło się przez oddziały powstańcze około 60 tys. ludzi. Od zakończenia II powstania do końca maja 1921 roku, czyli mniej więcej do zakończenia bitwy o Górę Świętą Annę – tak wynika z raportu, który odnalazłem – z Polski na teren Górnego Śląska dostarczono około 50 tys. karabinów. Łatwo sobie wyobrazić, jaki przebieg miałyby III powstanie bez tej broni.

Dlaczego symbolem śląskiego zrywu powstańczego stała się bitwa pod Górą Świętą Anną?

To jest bitwa bardzo trudna do oceny ze strony polskiej. Jak wiemy, III powstanie śląskie trwało prawie dwa miesiące, bo skończyło się 4 lipca 1921 roku, lecz tak naprawdę intensywne działania zbrojne wygasły już od drugiej dekady czerwca. A gdy mówimy o większych bitwach tego powstania, to najczęściej mamy przed oczami obrazy z filmowej trylogii śląskiej Kazimierza Kutza, przede wszystkim z „Soli ziemi czarnej”. Trzeba jednak pamiętać, że on pokazuje I powstanie, gdzie starcia miały charakter drobnych potyczek w terenie zurbanizowanym. W III powstaniu natomiast walki wyszły poza miasta i przypominały bardzo

wojnę pozycyjną na obszarze ciągnącym się od Olesna, przez Strzelce Opolskie, po Racibórz. Podkreślam to dlatego, iż to oznaczało, że zupełnie inaczej należało prowadzić działania zbrojne. Żadne wydzielone i niewielkie oddziały nie wchodziły w grę, tylko wielkie jednostki, o organizacji których już wspominałem. Słowem takie, które były zdolne utrzymać linię frontu.

Gdy przeanalizujemy I czy II powstanie, to zobaczymy, że nie było tam bitew, lecz ciąg niewielkich starć, w których małe miejscowości w krótkim czasie przechodziły po kilka razy z rąk do rąk. Natomiast w III powstaniu, jeśli któraś ze stron podejmowała próbę przełamania, wówczas dochodziło do bitwy. Były dwa takie wielkie starcia. Oprócz bitwy o Górę Świętą Annę chciałbym jeszcze wymienić tzw. drugą bitwę o Kędzierzyn, mniej znaną i późniejszą od tej pierwszej, aczkolwiek wzięły w niej udział jeszcze większe siły po obu stronach.

Wracając do bitwy o Górę Świętą Annę, chciałbym podkreślić, na czym polegało jej kluczowe znaczenie. Rozpoczęta 21 maja niemiecka ofensywa groziła wówczas przełamaniem polskiego frontu, a skutki tego byłyby katastrofalne. Dość łatwo sobie je dziś wyobrazić – wystarczy zatrzymać się na Górze Świętą Annę i popatrzeć na ładowne zejście w Dolinę Kłodnicę, gdzie w oddali rysują się zabudowania Gliwic. Zdobyte tej pozycji otwierałoby drogę do Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, zamieszkanego w większości przez ludność niemiecką. I oto atakującym Niemcom w tej ofensywie chodziło. Miasta GOP-u, po ich opanowaniu, byłyby naturalnym oparciem dla Selbstschutzu. Utrzymanie frontu na zachód od Gliwic było zatem warunkiem sukcesu polskiego powstania.

Na początku powiedziałem, że trudno jest nam oceniać bitwę o Górę Świętą Annę, bo de facto polska strona ją przegrała. Nasze oddziały zostały wyparte. Ale gdy popatrzymy na to pod kątem strategicznym, to przyznajmy, że mimo wszystko linię frontu udało się utrzymać. Ona się bardzo mocno wygięła w stronę Gliwic, jednak Niemcy nie podjęli dalej ofensywy. Oprócz powodów militarnych złożyły się na to też naciski ze strony aliantów. Walki zbytnio przypominały już regularną wojnę polsko-niemiecką i alianci grozili interwencją wojskową na dużą skalę. Notabene podobne uwagi były kierowane też pod adresem Polski, której nawet najbardziej przychylni Francuzi wyrzucali, że w konflikt na Górnym Śląsku angażuje coraz większe siły. Gdyby alianci uznali, że zostały pogwałcone warunki traktatu wersalskiego, Niemcom groził atak z ich strony niekoniecznie na Śląsku, lecz na zachodzie, na ważniejsze dla nich Zagłębie Ruhry.

Podsumowując, trzeba zatem powiedzieć, że bitwa pod Górą Świętą Annę miała duże znaczenie dla obu stron. Pod względem wojskowym wygrali ją Niemcy, ale nie osiągnęli celu strategicznego, tj. opanowania okręgu przemysłowego. Polacy przegrali tę fazę powstania militarnie, ale mimo to bitwa dała podstawę późniejszego sukcesu politycznego, czyli bardziej korzystnego dla Polski podziału Górnego Śląska.



ZAPOMNIANE ZWYCIĘSTWO

Powstanie sejneńskie z sierpnia 1919 roku, mimo że udane, tkwiło przez lata PRL-u w mrokach historii. Nie sprzyjał przypominaniu klimat polityczny. Sytuacja uległa zmianie po okresie transformacji, kiedy pojawiły się pierwsze prace omawiające ten sejneński zryw.

Należy pamiętać, że zarówno ziemia suwalska, jak i sejneńska były pod okupacją wojsk niemieckich Ober-Ostu. Trwały ustalenia pokojowe w Paryżu. Dopiero 26 lipca 1919 roku w wyniku działań dyplomatycznych doszło do zatwierdzenia przez Radę Najwyższą Ententy proponowanej przez marszałka Ferdinanda Focha linii demarkacyjnej między Polską a Litwą, późniejszej granicy między obu państwami. Te rozstrzygnięcia zbiegły się w czasie z wycofywaniem wojsk niemieckich do Prus. W lipcu 1919 roku opuścili one powiat augustowski, a w końcu tegoż miesiąca z Suwałk wyjechał ppłk Karl von Diebitsch. To wszystko sprawiło, że na początku sierpnia 1919 roku sytuacja w powiatach suwalskim i sejneńskim się pogorszyła. Obawiano się, i słusznie, że okupację niemiecką zastąpi teraz okupacja litewska.

Tym bardziej że Niemcy popierali stronę litewską. Było to widać w ich postępowaniu na całości ziem Ober-Ostu. Wojska litewskie przejmowały tereny opuszczane przez Niemców, ci zaś popierali tworzenie administracji litewskiej kosztem polskiej.

W tym trudnym okresie oliwy do ognia dołądziła postawa ludności polskiej północnych litewskich powiatów dawnej guberni suwalskiej. Jej przedstawiciele, na wniosek Tadeusza Katelbacha, na zjeździe w Suwałkach 12 sierpnia całkowicie zakwestionowali „linię Focha”. Przyjęta uchwała głosiła: „1) nowa linia demarkacyjna nie uwzględnia całkowicie stosunków etnograficznych, co miało być zaświadczone podpisami przedstawicieli gmin i miasteczek; 2) wzburzenie na terenach spornych jest tak silne, iż lada dzień może spowodować wybuch ludności polskiej wobec Litwinów;

3) warunki życia na Litwie, nie tylko dla Polaków, ale i Litwinów, stają się coraz gorsze; 4) wobec tego ogół zarówno jednych, jak i drugich uważa, iż zajęcie Litwy przez wojsko polskie będzie mogło rozwiązać zawisły problem polsko-litewski”. Następne dni pokazały, że tak naprawdę był to wstęp do antylitewskiej akcji zbrojnej.

Przygotowanie powstania

W międzyczasie okazało się, że sytuacja staje się coraz bardziej skomplikowana. W takiej atmosferze toczyły się przygotowania Okręgu Suwalskiego Polskiej Organizacji Wojskowej do powstania. Miało ono swoim zasięgiem objąć także tereny poza „linią Focha”.

Należy pamiętać, że od 7 sierpnia 1919 roku w Suwałkach nie było już litewskiej milicji i litewskiego wojska, które udało się

w kierunku Kalwarii. 10 sierpnia Niemcy opuścili Sejny, gdzie zainstalowały się natychmiast litewskie wojsko i administracja. Ponadto Litwini umocnili swoje pozycje na linii rzeki Czarnej Hańczy oraz przesmyku jezior Wigry i Pierty. Wszędzie wystawili posterunki wojskowe. Dla strony polskiej stało się oczywiste, że w ten sposób Suwalszczyzna praktycznie została odcięta od Sejneńszczyzny. A oczekiwane polskie wojsko nie nadchodziło. Jednocześnie strona polska podjęła kroki zmierzające do obalenia rządu w Kownie i zastąpienia go propolskim. Można więc przypuszczać, że zarówno działania polityczne, jak i militarne mogły być częścią antylitewskiej akcji zbrojnej.

Komendant Okręgu Suwalskiego POW por. Adam Rudnicki stwierdził, że już „12 sierpnia wyraźnym się stało,



że nic nie zdoła powstrzymać zrozpaczonej ludności od wybuchu zbrojnego. Jedynym, co nam pozostało, to umiejętnie ująć ten ruch w nasze ręce, przygotować go choć prowizorycznie i pokierować jak najbardziej celowo [...] robiliśmy co tylko można, by wybuch zahamować zgodnie z życzeniami Warszawy oraz wobec niedostatecznego jeszcze uzbrojenia”.

Strona litewska także nie była bierna, dążyła do konfrontacji militarnej. Do walki nawoływał sam premier Mykolas Sleževičius podczas wizyty w Sejnach w sierpniu 1919 roku. Na wiecu ludności litewskiej przemówił do zebranych, aby: „bronili swych osad do ostatka, jak kto może, stając z siekierami, widłami, kosami, żeby nikomu nie oddać kawałka ziemi od stuleci zamieszkałej przez przodków”. Rezolucja manifestacji w Kownie 17 sierpnia 1919 roku głosiła zaś: „Obywatele! Ojczyzna w niebezpieczeństwie. Kto żywi i uczciwy, niech chwytą za broń. Użyjmy środków, ażeby nie pozostało na Litwie ani jednego okupanta”. Stąd był już tylko krok do zbrojnego konfliktu.

Decyzja o wybuchu powstania została podjęta 16 sierpnia przez ścisłe gremium kierownictwa suwalskiego POW-u – komendanta por. Adama Rudnickiego oraz jego zastępcę ppor. Wacława Zawadzkiego. Zasadniczy cel był ściśle określony. Należało odzyskać Sejny oraz tereny wokół, zajmowane wpierw przez Niemców, a następnie przejęte przez Litwinów mimo postanowień Rady Najwyższej Ententy. Zatwierdzono plan akcji zbrojnych i wyznaczono początek działań wojskowych POW-u w nocy z 22 na 23 sierpnia 1919 roku.

Przygotowania mobilizacyjne odbywały się „w atmosferze niesłychanego podniecenia i wysiłków władz Obwodu Sejneńskiego i Kalwaryjskiego [POW], by nie dopuścić do przedwczesnego wybuchu –

utrzymać ludzi do 22 sierpnia, momentu wyjścia Niemców z Suwałk”, jak zapisał Adam Rudnicki. Według planu, główną grupą powstańczą Sumowo miał dowodzić ppor. Wacław Zawadzki – faktyczny dowódca powstania. Oprócz niej w terenie miały działać samodzielne kompanie: Krasnopol – pod dowództwem pchor. Piotra Łankiewicza, oraz Giby – dowodzona przez pchor. Józefa Rosińskiego. Reszta sił to oddziały wydzielone. Sztab powstania składał się z trzech osób: komendanta por. Adama Rudnickiego oraz por. Antoniego Lipskiego i por. Ignacego Dobrzyńskiego.

Pierwsze walki

Plan zakładał, że uwolnione tereny zostaną zajęte przez Wojsko Polskie (41 Suwalski Pułk Piechoty), które miało też wesprzeć powstańcze oddziały bronią i amunicją. Zamierzano do bezpośredniej akcji zbrojnej zaangażować około 900 powstańców. Włączano w to siły powiatowe z trzech obwodów: I i II Suwalskiego oraz III Sejneńskiego. Chciano osiągnąć prosty cel – rozbroić posterunki oraz samodzielne kompanie wojska litewskiego i uderzeniem zająć na jeden dzień Sejny. Resztę działań miał podjąć 41 Suwalski Pułk Piechoty. Wbrew pozorom strona litewska miała siły dużo większe. Dysponowała bowiem 1200 żołnierzami piechoty (uzbrojonymi w 18 cekaemów) oraz 120 kawalerzystami. Połowa przebywała na linii Czarnej Hańczy, a 400 stacjonowało w samych Sejnach. Pozostałe wojska litewskie znajdowały się w Krasnopolu, Gibach i Łoździejach. Poza tym w niedalekiej Kalwarii stacjonował litewski 1 Pułk Piechoty wraz z artylerią. Mógł więc być w każdej chwili użyty w walce z powstańcami i stanowić istotne zagrożenie dla planów powstania.

Noc z 22 na 23 sierpnia zaczęła się od koncentracji oddziałów powstańczych w rejonie wsi i jeziora Sumowo. Odbyły się sztabowe spotkania i wydano rozkazy. Siły obwodu suwalskiego i sejneńskiego przystąpiły do walki. Ogłoszono znamienną odezwę powstańczą: „Rozpoczęliśmy walkę o ziemię polską, którą chciano oderwać przemocą od Ojczyzny naszej i oddać pod panowanie kowieńskiej Taryby. Samozwańczy rząd litewski ośmielił się nie uznać nakazów koalicji, odgrając się, iż bronić będzie Sejneńskiego, a wkrótce odbierze i Suwałki. Zrozumieliśmy wówczas, że na siłę trzeba odpowiedzieć siłą, że czynem i krwią własną okupimy raz na zawsze prawa do połączenia się z Ojczyzną. Nie pragniemy tej walki, gdyż z ludem litewskim chcieliśmy i chcemy żyć w zgodzie. Walczymy tylko z samozwańczym uciskającym swój własny naród rządem Taryby oraz jego służalcami”.

Do walki pierwsza weszła kompania pchor. Piotra Łankiewicza, która ruszyła na Krasnopol, Ryżówkę oraz Tartak i doszła do jezior Wigry i Pierty. Rozbrajano litewskie posterunki, brano jeńców i zabierano broń z amunicją. Na zajętych terenach posterunki pozostawiano, a reszta kompanii ruszyła w kierunku Sejn. Część planu wykonano pomyślnie.

Powstanie sejneńskie, to bezpośrednie, wybuchło 23 sierpnia 1919 roku o godzinie 3.00 nad ranem. Walki o Sejny rozpoczęła grupa Sumowo w sile trzech kompanii. Zasadniczy atak poszedł z kierunku południowo-zachodniego wzdłuż drogi Sumowo – Sejny. Szybko też okazało się, że manewr oskrzydlający się nie powiedzie wobec przewagi strony litewskiej oraz, jeśli nie zostanie przeprowadzony siłami skoncentrowanymi. Udało się tego dokonać dopiero o godzinie 5.30, kiedy po zmasowanym ataku z kilku stron Sejny zostały oswobodzone. Straty polskie były znikome (dwóch zabitych,

14 rannych), a litewskie adekwatne. Wzięto do niewoli stu jeńców litewskich. Wojska litewskie wycofały się na Kalwarię i Łoździeje, a powstańcy wyszli 2 km na północ od Sejn, zajmując Babańce i Gryszańce. Warty powstańcze zabezpieczały kolejne budynki w Sejnach, te o wyjątkowym znaczeniu: pałac biskupi, ratusz oraz zabudowania seminarium duchownego (dawny klasztor dominikanów). Ten ostatni był szczególnie ważny ze względów moralnych. Jak zapamiętał to Tadeusz Katelbach: „[...] po zajęciu Sejn zostałem komendantem miasta. Po raz pierwszy i ostatni w życiu zetknąłem się w tej roli z Litwinami: księżmi, nauczycielami, legionem charakterystycznych dewotek litewskich, młodzieżą oraz jeńcami wojennymi [...] W oczach Litwinów czytałem jednak nienawiść. Sejny były polskie, a tylko korzystając z opieki niemieckiej zażarty Litwin, biskup [Antoni – K.F.] Karaś [Antanas Karosas – K.F.], likwidował je w przyspieszonym tempie. Zajęcie przez nas Sejn kładło kres litwinizacyjnemu planom biskupa. Jego najbliżsi byli teraz pod moją opieką i kontrolą. Znowu jak pod Lwowem, nie czułem w sobie żadnego powołania do surowych rozpraw z Litwinami”.

Sejny były oswobodzone, ale nadal trwały walki w terenie. Opanowano ważne strategicznie miasteczko Łoździeje, leżące 18 km od Sejn. Wsparto grupę operacyjną Wigrzańce koło Gib. Główne siły polskie ruszyły następnie do Sejn i około godziny 11.00 przybyły do oswobodzonego miasta. Walczono też w rejonie Posejnel, Berznik i Zelwy. Inną grupą zdobyła miasteczko Kopciowo. Tymczasem tragiczna stała się sytuacja w Łoździejach, które w południe zostały zaatakowane przez dwie kompanie wojska litewskiego uzbrojonego w karabiny maszynowe. Po półtoragodzinnej walce powstańcy zostali zmuszeni do opuszczenia miejscowości i udania się do Sejn.

ciąg dalszy na następnej stronie



dokończenie ze str. 9

Około godziny 13.00 do Sejnu przybył też z Augustowa oddział kawalerii POW-u por. Adama Lipskiego. Przedzierał się, omijając litewskie posterunki z Maćkowej Rudy i Sumowa. Wraz z kawalerzystami dojechał komendant Suwalskiego Okręgu POW por. A. Rudnicki. Kawalerzyści ruszyli na pomoc powstańcom wycofującym się z Łoździej. Do późnego wieczora większość oddziałów z terenu dołączyła do miasta. Bilans pierwszego dnia powstania był niezmiernie korzystny. Obszar od rzeki Czarna Hańcza po Kopciowo był w polskich rękach, oczyszczony z wojska litewskiego. Zdobyto potrzebną broń (dwa cekaemy, 250 karabinów), sprzęt i tabory. Straty własne były minimalne: dziewięciu zabitych i 28 rannych. Do niewoli wzięto 400 jeńców, w tym ośmiu oficerów. W oddziałach było około tysiąca powstańców, w tym w samych Sejnach 800. Przybywało ochotników, dla których brakowało niestety broni. Nikt nie przewidywał, że walki będą trwały jeszcze długo.

Kontratak

Drugi dzień powstania był spokojny i pełen euforii. Umacniano przedpola w Sejnach i wysłano do Augustowa, do sztabu gen. Wacława Falewicza, prośbę o pomoc wojskową. Ta jednak nie nadchodziła. Powołano Tymczasowy Zarząd Miasta, uwolniono więźniów politycznych, a jeńców litewskich odesłano do Suwałk, obawiając się odwetu miejscowej ludności. Poproszono o przysłanie chociaż jednego batalionu 41 Suwalskiego Pułku Piechoty.

W Sejnach z niecierpliwością oczekiwano pomocy. W nocy jeden z księży litewskich uciekł z klasztoru i zawiadomił dowództwo litewskie, że w mieście nie ma regularnych oddziałów Wojska Polskiego. Poinformował także o rozmieszczeniu powstańców i ich liczebności. Zachęciło to stronę litewską do kontrataku.

Rozpoczął się trzeci, tragiczny dzień powstania sejneńskiego. 25 sierpnia o godzinie 4.30 cztery kompanie regularnej armii litewskiej od północy uderzyły na Sejny. Tymczasem część powstańców odeszła w kierunku Krasnopola, chcąc sprawdzić, dlaczego z pomocą nie nadchodzi oddziały Wojska Polskiego. Drugim istotnym czynnikiem były ataki litewskie na Krasnopol i pobliskie placówki. Zajęcie Krasnopola oznaczałoby okrążenie Sejnu.

Atak na Sejny został wsparty przez szaulisów oraz ochotniczy korpus niemiecki. Strona litewska była silnie uzbrojona w przeciwieństwie do powstańców. Dowódca obrony Sejnu został ppor. Zawadzki, znany w POW-ie pod pseudonimem „Różga”. Podzielił siły powstańcze na trzy grupy, aby skoordynować obronę miasta. Zacięte walki trwały prawie dwie godziny. Około 6.00 nad ranem wojska litewskie opanowały miasto, a powstańcy wycofali się na znajdujące się za nim wzgórza. W walce zginął, w nie do końca wyjaśnionych oko-

licznościach, dowódca obrony Sejnu. Według jednej z wersji, przedstawionej przez Katelbacha: „Opadnięty przez oddział żołnierzy litewskich, ranny kilkakrotnie, strzelający do ostatka, padł śmiercią na ulicy miasta, które dwa dni wcześniej zdobył na czele swojego oddziału – dla Polski”.

Sytuacja stawała się coraz bardziej dynamiczna. Przed godziną 8.00 rano z Krasnopola przybyła kompania pchor. Piotra Łankiewicza wsparta 15 żandarmami. Wzmocniło to znacząco siły powstańcze i o 9.00 rozpoczął się polski kontratak. Do akcji włączyła się powstańcza kawaleria por. Lipskiego, oskrzydlając miasto. Było to uderzenie na tyły wojsk litewskich, odciążające powstańców. Dzięki manewrowi ułani z zaskoczenia wyszli na tyły maszerujących na Sejny oddziałów litewskich, by je rozbić, wziąć jeńców i zdobyć tabory. Następnie kawalerzyści przedarli się przez tyraliery litewskie i z powrotem ruszyli do Sejnu.

Jednocześnie z trzech kierunków powstańcy uderzyli na miasto. Od strony Suwałk, Gib i wzgórze. Powtórzyli więc manewr z pierwszego dnia powstania. Przed południem, około 11.00, Sejny były znowu w rękach Polaków. Szarża kawalerii okazała się decydująca w bojach o miasto. Ubiór dowódcy kawalerzystów, który nosił mundur ułana 1 Pułku Ułanów Krechowieckich, wywołał panikę wśród armii litewskiej. Litwini byli przekonani, że mają do czynienia z regularnym oddziałem Wojska Polskiego, a nie powstańcami. Por. Rudnicki po latach podkreślił „decydującą dla zwycięstwa rolę słabszej liczebnie kawalerii powstańczej, której dywersja na tyły urosła w oczach litewskich do rozmiaru rajdu silnej, regularnej jazdy polskiej”.

Niemniej 25 sierpnia 1919 roku był najtragiczniejszym dniem powstania. Zginęło 16 ludzi, a ponad 30 odniosło rany. Jednak większość rannych została dobita. W ciągu dwóch godzin Litwini dopuścili się w Sejnach licznych mordów, gwałtów i rabunków. Dochodziło do nich nie tylko w mieście, lecz także pobliskich wsiach.

Czwarty dzień powstania był spokojny. Z Suwałk wyczekiwano posiłków, które zatrzymały się w Krasnopolu. W obawie przed kontratakiem litewskim prowadzono czynności wywiadowcze, by w ten sposób monitorować ruchy litewskiego wojska. Do Suwałk przetransportowano 13 poległych, którzy pochodzili z tamtejszych okolic. Wraz z nimi udali się ranni powstańcy oraz litewscy żołnierze. O 16.00 do miasta wkroczyła wyczekiwana kompania suwalskich strzelców wzmocniona plutonem karabinów maszynowych.

27 sierpnia 1919 roku był w Sejnach dniem uroczystym. Odbędzie się manifestacja patriotyczna mieszkańców, którzy w ten sposób chcieli okazać wolę przynależności do Rzeczypospolitej. Był uroczysty pogrzeb poległych powstańców oraz żołnierzy litewskich. Spoczęli oni na cmentarzu parafialnym. Morale powstańców i mieszkańców wzmocnione zostało przybyciem nocą kolejnej kompanii 41 Suwalskiego Pułku Piechoty. Wywiad powstańczy donosił o znacznym wzmocnieniu sił litewskich. Bateria artylerii i liczna broń maszynowa istotnie mogły zagrozić powstańcom.

Dalsze starcia

Zgodnie z oczekiwaniami 28 sierpnia, szóstego dnia powstania, około 5.00 rano wojska litewskie zaatakowały Sejny. Były to dwa bataliony 1 Pułku Piechoty, wsparte baterią artylerii i 12 ciężkimi karabinami maszynowymi. Oprócz regularnych oddziałów Litwini wzmocnieni byli licznymi oddziałami szaulisów oraz ochotnikami niemieckimi. Ze strony polskiej do boju o miasto stanął II Batalion 41 Pułku Piechoty, dowodzony przez kpt. Juszczackiego, z sześcioma cekaemami. Dużym wsparciem był nowy batalion powstańczy, którym dowodził por. Adam Rudnicki, o niebagatelnej sile 500 karabinów i dwóch cekaemów.

Obronę miasta przygotowano na przedpolu 3–5 km od strony północno-wschodniej. Walki były zażarte i długo-

trwałe. Przez cały dzień wojska litewskie ponawiały falowe ataki. Były one jednak nieskuteczne. Po odparciu ostatniego natarcia Litwini wycofali się w kierunku Łoździej, zostawiając swoich zabitych i rannych. Straty powstańców były mniejsze niż poprzednio: dwóch zabitych i kilku rannych.

Finał

Był to już ostatni akord powstania sejneńskiego. Straty ze strony polskiej, poniesione w całym powstaniu, a nie tylko podczas walk o Sejny, nie są do końca znane. Przypuszcza się, że w ciągu sześciu dni walk niemal 50 osób zostało zabitych, około 70 rannych i kilkunastu uznano za zaginionych. Straty strony litewskiej są trudne do oszacowania, wzięwszy pod uwagę losy archiwów wojskowych krajów nadbałtyckich w czasie II wojny światowej.

28 sierpnia 1919 roku, w ostatnim dniu powstania sejneńskiego, odbył się w Suwałkach uroczysty pogrzeb poległych – dowódcy, ppor. Wacława Zawadzkiego oraz dziesięciu jego podkomendnych. Ceremonia ta, podobnie jak ta wcześniejsza w Sejnach, była wielką manifestacją patriotyczną. Śmierć powstańców sejneńskich nie poszła na marne. Jak zapisał po latach Adam Rudnicki, powstanie potwierdziło „krwią swych najlepszych synów bezsprzeczną polskość tej ziemi”.

Powstanie sejneńskie, mimo że lokalne, było jednym z nielicznych – po wielkopolskim, zwycięskich zrywów. Walczono o przyszłość tej ziemi i chęć powrotu po ponad stu latach do odrodzonej Macierzy.

Przy przygotowywaniu tekstu wykorzystano:
St. Buchowski, „Konflikt polsko-litewski o Ziemię Sejneńsko-Suwalską w latach 1918–1920”, Sejny 2009;
T. Katelbach, „Spowiedź pokolenia”, Gdańsk 2001;
A. Rudnicki, „Okręg Suwalski Polskiej Organizacji Wojskowej, Praca i Walka (styczeń–październik 1919)”, „Polska Zbrojna” 1929; A. Szczerba (Rudnicki), „Szarża kawalerii pod Sejnami 25 VIII 1919 r.”, „Peowiak”, 1931, nr 2.

Krzysztof Filipow, dr hab., prof. Uniwersytetu w Białymstoku; prof. honoris causa Narodowego Uniwersytetu Technicznego Ukrainy, kierownik Pracowni Nauk Pomocniczych Historii XIX–XX wieku w Katedrze Historii Najnowszej.

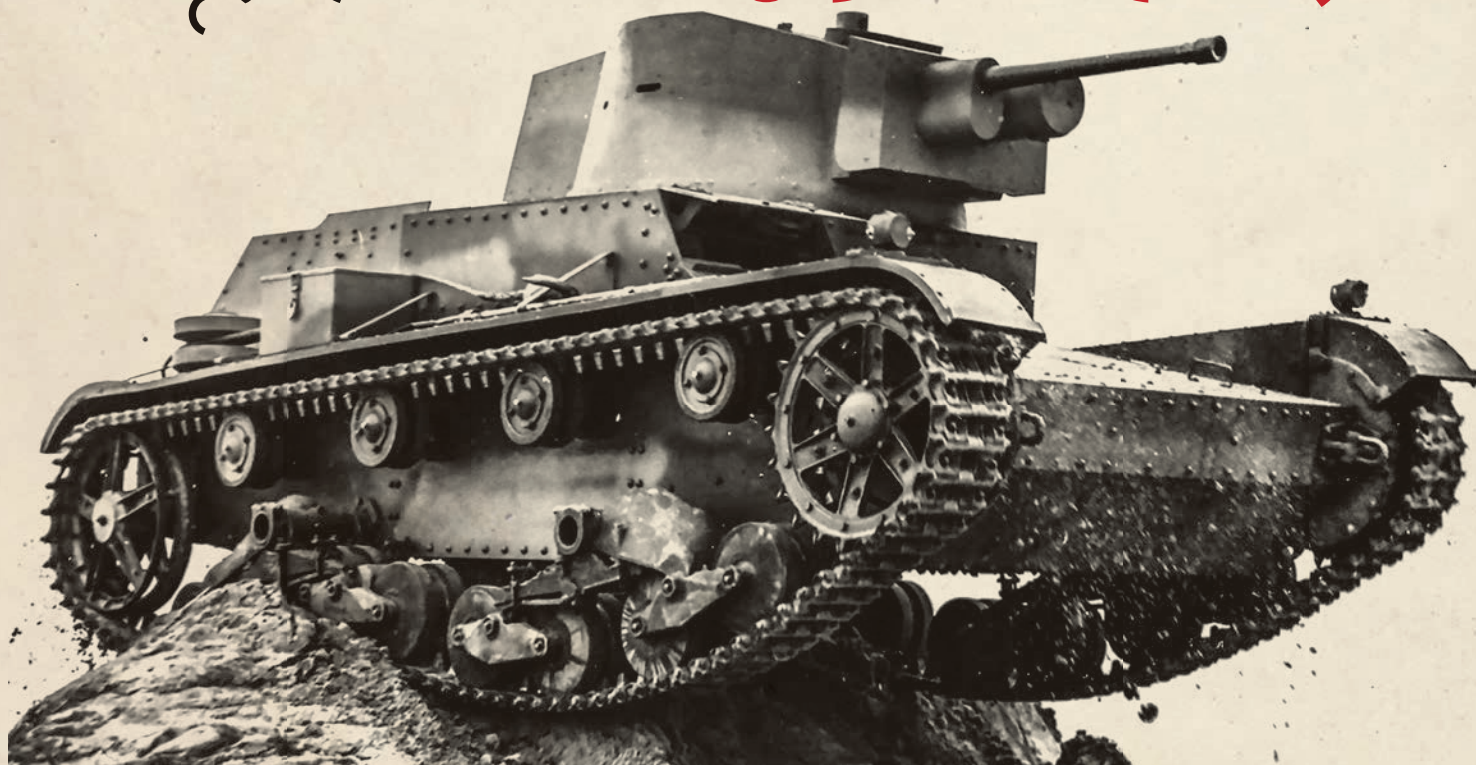
Por. Adam Rudnicki w otoczeniu członków sztabu Suwalskiego Okręgu POW – Dowództwa Obrony Kresów. Na zdjęciu poniżej żołnierze 41 Suwalskiego Pułku Piechoty w dniu wkroczenia do Suwałk



ZBROJNA PIĘŚĆ **NIEPODLEGŁEJ**



Produkty polskiej myśli technicznej w okresie międzywojennym budziły zainteresowanie wojskowych nie tylko ze Starego Kontynentu. Inż. Michał Gonczaruk (z lewej) prezentuje swój wynalazek – tłumik do broni palnej – przedstawicielom armii japońskiej. Warszawa, sierpień 1933 roku



Czołg lekki 7TP, dzieło inżynierów z Ursusa, uzbrojony w armatę przeciwpancerną Boforsa, mógł w 1939 roku pokonać każdy niemiecki czołg lekki i toczyć równy bój z większością tych średnich

Druga połowa lat trzydziestych ubiegłego stulecia była w Polsce okresem wzmożonej militaryzacji. Jak pokazuje historia, mimo ograniczonych środków potrafiliśmy tworzyć konstrukcje dorównujące projektom zaawansowanych technicznie i bogatszych państw, a czasem nawet je wyprzedzające.

Gdy gospodarce udało się złapać głębszy oddech po wielkim kryzysie, gorączkowo przystąpiono do nadrabiania strat, jakie gospodarcza zapaść przyniosła obronności państwa. Były one ogromne, bo na lata borykania się z niestabilną sytuacją ekonomiczną przypadł jednocześnie przełom technologiczny w produkcji uzbrojenia w Niemczech i Związku Sowieckim. Nowej wojny z Sowiecami spodziewano się już od zakończenia poprzedniej, ale militarne odrodzenie się zachodnich sąsiadów stanowiło pewne zaskoczenie. Wbrew wcześniejszym rachubom stało się całkiem realne, że to właśnie oni uderzą pierwsi. A Niemcy słynęli z doskonałej techniki wojskowej.

Przed inżynierami pracującymi dla polskiego przemysłu zbrojeniowego stanęło wielkie wyzwanie. Mając do dyspozycji bardzo skromne środki, dwoili się i troili, aby niemal dosłownie tworzyć coś z niczego.

Postrach czołgów

Wojskowi decydenci, świadomi gwałtownego rozwoju sił pancernych naszych agresywnych sąsiadów, zdawali sobie sprawę, że w warunkach kryzysu gospodarczego nie wyprodukujemy równoważnej liczby czołgów. Postanowili zatem zainwestować w jak najskuteczniejsze środki obrony przeciwpancernej. Armie nie tylko wyposażono w doskonałe armaty Boforsa, lecz także postanowiono zrobić krok dalej i dać żołnierzom broń poręczniejszą, tańszą i równie skuteczną, czyli karabin przeciwpancerny wz. 35, znany także jako Ur.

Na świecie już od jakiegoś czasu powstawały tego typu konstrukcje, na przykład brytyjski karabin przeciwpancerny Boys, ale ich zasada działania opierała się na dużej masie pocisku, co powodowało wiele kompli-

kacji konstrukcyjnych i eksploatacyjnych. Twórcy ura, z warszawskim inżynierem Józefem Maroszkim na czele, uznali, że można go zmodyfikować, zwiększając nie masę pocisku, lecz siłę ładunku miotającego. W połączeniu z długą lufą karabinu dawało to ogromną prędkość wylotu. Gdy pocisk trafił w pancerz nieprzyjacielskiego pojazdu, rozlatywał się na drobne cząstki, ale oddana przez niego energia wybijała w pancerzu korek, który raził załogę. Innymi słowy, to co miało chronić czołgistów przed pociskami, stawało się pociskiem. Mimo wielu wad, takich jak mały zasięg czy ryzyko, że maszyna mimo rażenia załogi będzie sama jechać dalej, poręczne ury świetnie spisały się we wrześniu 1939 roku. Zdobyte przez Rosjan egzemplarze stanowiły również podstawę do prac nad rusznicą przeciwpancerną PTRD.

Siła pistoletu

Bolączką międzywojennego Wojska Polskiego była wielka różnorodność pistoletów, szczególnie tych, którymi dysponowali oficerowie, co wynikało m.in. z tego, że z reguły zaopatrywali się oni prywatnie. Na to jeszcze nakładał się konflikt między osobami odpowiedzialnymi za uzbrojenie – zwoleńnikami rewolwerów i pistoletów. Ostatecznie zwyciężyli ci drudzy – już wielka wojna pokazała, że podczas nowoczesnego konfliktu pistolet zdecydowanie góruje nad rewolwerem. Zwarta budowa zapobiega zabrudzeniom, łatwiej go zabezpieczyć, szybciej się z niego strzela, a pudełkowy magazynek zwiększa zapas amunicji i ułatwia jej uzupełnianie.

Większość broni ręcznej używanej przez polskich oficerów stanowiły niewielkie, eleganckie pistolety, bardziej przydatne do obrony własnej niż na polu walki. Brakowało im mocy obalającej, były zawodne i niełatwe w konserwacji – w przeciwieństwie do standaryzowanej broni niemieckiej, takiej jak chociażby pistolet Parabellum. Ponadto pojawiła się potrzeba opracowania pistoletu wydawanego zwykłym żołnierzom (m.in. pancerniakom), dla których broń długa była niepraktyczna, a także zmobilizowanym oficerom rezerwy.

Od drugiej połowy lat dwudziestych ubiegłego wieku nad takim projektem pracowali dwaj polscy inżynierowie Piotr Wilniewicz i Jan Skrzypiński. Opracowali broń wzorowaną na amerykańskim colcie M1911, ale na tyle różniącą się ważnymi szczegółami, że można ją uznać za niezależne dzieło. Jednym z wielu nowatorskich rozwiązań zastosowanych w pistolecie wz. 35 (od nazwisk konstruktorów nazwanym visem) była możliwość bezpiecznego zwolnienia kurka przy załadowanej broni. Co jednak najważniejsze, doskonale nadawał się na pole walki. Vis to świetnie wyważona broń, dzięki temu niezwykle celna, nawet podczas strzelania z jednej ręki, a wiele przemysłowych zabezpieczeń sprawia, że bardzo trudno o przypadkowy wystrzał, nawet w stresujących warunkach pola walki.

Konstrukcja okazała się tak udana, że jej produkcję na własne potrzeby kontynuowali niemieccy okupanci, jako Pistolet 35 (p). Opracowywana równolegle sowiecka broń TT, chociaż również wzorowana na pistolecie Colt M1911, strzelała pociskami mniejszego kalibru, miała zatem mniejszą moc obalającą, była gorzej wyważona i niecelna, a ze względu na zastosowanie tylko jednego bezpiecznika, groźna dla używającego jej żołnierza.

Pancerna pięść

Wbrew utartej opinii mieliśmy przed wojną własne czołgi, w dodatku bardzo nowoczesne. Czołg lekki 7TP (siedmiotonowy polski), dzieło inżynierów z Ursusa, podobnie jak vis stanowił rozwinięcie istniejącej konstrukcji, czyli brytyjskiego czołgu lekkiego Vickers E. Przede wszystkim w maszynie zamontowano dieslański silnik wysokoprężny, odporny na zapalenie się, czyniąc 7TP jedną z pierwszych tego typu konstrukcji na świecie. Całkowicie nowatorskim elementem wyposażenia był peryskop czołgowy konstrukcji Rudolfa Gundlacha, dzięki specjalnemu układowi lusterek pozwalający na obserwację w promieniu 360 stopni bez obracania głowy. Co ciekawe, konstrukcję tę skopiowali Rosjanie, po czym okrężną drogą, przez ludowe Wojsko Polskie, wróciła ona do naszych sił zbrojnych i jest używana do dziś.

Uzbrojony w armatę przeciwpancerną Boforsa mógł 7TP w 1939 roku pokonać każdy niemiecki czołg lekki i toczyć równy bój z większością tych średnich. Stanowił zatem zagrożenie dla maszyn, którymi dysponowały wówczas niemieckie siły pancerne. Był także lepszy od sowieckich T-26, stanowiących do 1941 roku podstawowe wyposażenie wojsk pancernych ZSRR. Jak pokazały boje w 1939 roku, m.in. pod Piotrkowem Trybunalskim i Tomaszowem Lubelskim, głównymi wadami tych czołgów były ich niewielka liczba i słabsze opancerzenie niż wozów niemieckich.

Bezbronny bombowiec

Bombowy PZL-37 Łoś to legendarny samolot polskiego Września, duma rodzimej techniki, stworzony całkowicie przez naszych inżynierów, przy wielkim nakładzie pracy, środków... i niestety to wszystko prawdopodobnie niepotrzebnie. Naciski dowódcy lotnictwa gen. bryg. Ludomiła Rayskiego, doświadczonego pilota bombowego, doprowadziły do zbudowania nowoczesnego bombowca, maszyny najbardziej użytecznej w wojnie ofensywnej lub w sytuacji, gdy ma się przewagę w powietrzu. Tymczasem można było się raczej spodziewać obrony przed Niemcami, dysponującymi nowoczesnym i liczным lotnictwem. Naszym siłom potrzebne były przede wszystkim nowoczesne myśliwce, szybkie i zwrotne maszyny zdolne bronić miast oraz ważnych obiektów przed nieprzyjacielskimi nalotami.

ciąg dalszy na następnej stronie

dokończenie ze str. 11

Łoś był bardzo zwrotny, bez bomb zdolny nawet do wykonywania akrobacji, ale jednocześnie bardzo słabo uzbrojony (tylko trzy karabiny maszynowe, podczas gdy na przykład niemiecki heinkel he III miał ich sześć i jedno działko). Gdy brakowało eskorty myśliwskiej, stawał się właściwie bezbronny. Niebezpieczna okazała się także konstrukcja zbiorników paliwa – w razie trafienia samolot szybko stawał w płomieniach.

W 1939 roku nielicznych maszyn tego typu użyto do bombardowania kolumn niemieckich, a także do rajdu bombowego na węzeł kolejowy w okolicy Opola, ale kosztem bardzo dużych strat własnych.

Legendarne efemerydy

Doświadczenia I wojny światowej sprawiły, że na całym świecie doceniono broń automatyczną, która przy zaangażowaniu mniejszej liczby żołnierzy pozwalała zadawać wielkie straty nieprzyjacielowi. Sprawdzała się także doskonale w działaniach wymagających szybkiego pokrycia ogniem konkretnego obszaru. Broń automatyczna, pomimo stopniowej miniaturyzacji i pojawienia się ręcznych karabinów maszynowych, a nawet maszynowych pistoletów, była dosyć nieporęczna, a jej skomplikowana budowa sprawiała, że okazywała się też zawodna. Ustawicznie ją jednak rozwijano, słusznie przewidując, że w przyszłej wojnie o zwycięstwie bardziej niż celność strzałów zadecyduje ich liczba. W Niemczech, najpierw potajemnie, a potem całkiem jawnie rozwijano konstrukcję pistoletu maszynowego. W efekcie powstał MP 38, popularnie, chociaż błędnie, nazywany schmeisse-rem. W Związku Sowieckim prace prowadzone od lat dwudziestych ubiegłego stulecia zaowocowały pistoletem maszynowym PPD-34, który jednak nie zyskał dużego uznania.

Nic więc dziwnego, że gdy tylko pojawiła się taka możliwość, również w Wojsku Polskim przystąpiono do opracowania konstrukcji pistoletu maszynowego dla żołnierzy. Od 1936 roku pracowali nad nim twórcy visa. Wilniewicz i Skrzypiński zbudowali pistolet maszynowy Mors wz. 39. Ta broń pod wieloma względami wyprzedzała swoją epokę, wręcz przypominała karabinki maszynowe z przełomu XX i XXI wieku. Była wyposażona w chwyt pistoletowy, umiejscowiony z przodu, dwurzędowy magazynek pudełkowy na 25 pocisków oraz teleskopową podpórkę do strzelania z pozycji leżącej. Można było prowadzić z morsa zarówno ogień pojedynczy, jak i ciągły. Produkcję tych pistoletów, przeznaczonych dla piechoty i załóg wozów bojowych, rozpoczęto dopiero w marcu 1939 roku, przez co do wojny powstało ich niewiele ponad 30, głównie przeznaczonych do dalszych testów. Wykorzystanie bojowe tej broni było znikome.

Prześcignęliśmy jednak sąsiadów w konstrukcji karabinu samopowtarzalnego, niestety znowu nie zdążyliśmy go użyć do obrony. Twórcą karabinu samopowtarzalnego Maroszką (kbsp wz. 38M), w 1938 roku przyjętego do uzbrojenia Wojska Polskiego, był wspomniany już inżynier Józef Maroszek z Politechniki Warszawskiej. Karabin skierowano jednak do dalszych prób, dlatego pomimo wyprodukowania w sumie około 150 egzemplarzy, przypuszczalnie w ogóle nie został wykorzystany bojowo.

Tymczasem niemiecki karabin samopowtarzalny Gew 41(M) produkowano dopiero od 1941 roku, zresztą szybko zaprzestano jego wytwarzania wskutek zawodności konstrukcji. Rosjanie już od lat trzydziestych ubiegłego wieku dysponowali karabinem automatycznym AWS, jednak także zawodnym i w 1939 roku dopiero pracowali nad swoimi słynnymi karabinami SWT.

Chwalmy swoje

Osiągnięcia polskiej wojskowej myśli technicznej świadczą o tym, że mimo ograniczonych środków potrafiliśmy tworzyć konstrukcje wyprzedzające projekty bardziej rozwiniętych technologicznie i bogatszych państw, a czasem im dorównujące. Zabrakło nam przede wszystkim czasu, aby powielić nieliczne egzemplarze świetnej broni i masowo wyposażać w nią wojsko.

Maciej Norwak-Kreyer

MECENAS PAMIĘCI HISTORYCZNEJ

Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. z Poznania to nie tylko najnowocześniejsze w kraju przedsiębiorstwo zajmujące się modernizacją, remontami i serwisem sprzętu pancernego, to także firma, która od wielu lat aktywnie wspiera instytucje naukowe i kulturalne. Z jej pomocy korzysta m.in. poznańskie Muzeum Broni Pancernej. Specjaliści z WZM S.A. pomagają odrestaurować unikatowy czołg PzKpfw III oraz używany przez Polaków w czasie II wojny światowej niszczyciel czołgów Achilles.

Niszczyciel czołgów Achilles, dokładniej 17-pdr Self-Propelled Achilles, był jednym z najskuteczniejszych alianckich systemów uzbrojenia przeznaczonych do zwalczania czołgów. Pojazd, uzbrojony w 17-funtowe brytyjskie działko kalibru 76,2 mm, mógł bowiem niszczyć nawet najmocniej opancerzone niemieckie pantery i tygrysy. Z achillesów korzystali polscy żołnierze. Wyposażone były w nie dwa pułki artylerii – z dowodzonej przez gen. Stanisława Maczka 1 Dywizji Pancernej, która wywalała Belgię, oraz z dowodzonego przez gen. Władysława Andersa 2 Korpusu Polskiego, który walczył m.in. pod Monte Cassino.

Mimo iż w czasie wojny powstało około tysiąca achillesów, jeszcze do niedawna próżno było szukać chociażby jednego w zasobach polskich muzeów. Trzy lata temu to się jednak zmieniło. Poznańskiemu Muzeum Broni Pancernej, które jest filią Muzeum Wojska Polskiego, udało się pozyskać taki pojazd z Belgii, gdzie służył jako cel na poligonie w Braaschaat. Niestety, otrzymany w darze od ministerstwa obrony Belgii wóz był w kiepskim stanie technicznym. Kiedy władze poznańskiej placówki zastanawiali się, jak go odrestaurować, swoją pomoc zaoferowały Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. z Poznania.

„Nie musieliśmy się długo zastanawiać. Jak tylko dotarły do nas informacje, że do Poznania trafi zażytkowy, unikatowy niszczyciel czołgów, którego używali polscy żołnierze w czasie II wojny światowej, natychmiast zaproponowaliśmy swoją pomoc. Ustępiliśmy nie tylko swój park maszynowy i narzędzia, lecz również naszych specjalistów od broni pan-

cernej”, wyjaśnia Elżbieta Wawrzynkiewicz, prezes poznańskich WZM S.A.

Achilles to nie pierwszy projekt historyczny, w który są zaangażowane WZM S.A. Należąca do Polskiej Grupy Zbrojeniowej spółka, specjalizująca się w modernizacji, remontach i serwisach broni pancernej i pojazdów zmechanizowanych naszej armii, realizująca obecnie wieloletnią umowę na przywrócenie pełnej sprawności technicznej czołgów Leopard 2A5, wyremontowała m.in. dla muzeum wojskowego królestwa Jordanii lekki czołg pływający PT-76, a dla poznańskiego muzeum pancernej samobieżne działko pancerne StuG IV.

Teraz dla tegoż muzeum pracuje nad przywróceniem świetności czołgowi PzKpfw III. „Oni są niesamowici. Są wizytówką Poznania, Wielkopolski. Potrafią naprawić wszystko”, mówi ppłk Tomasz Ogrodniczuk, kustosz Muzeum Broni Pancernej. „Możemy na nich liczyć zarówno przy dużych projektach, jak i drobnych problemach technicznych, z którymi my nie możemy sobie poradzić”.

Najnowszym projektem historycznym, nad którym pracują specjaliści z WZM S.A., jest średni kołowy opancerzony transporter (SKOT). O przekazanie jednego z wozów tego typu, pozostających w zasobach poznańskiej firmy, zwróciło się Muzeum Historii Polski. „Taka prośba to dla nas zaszczyt. Zgodziliśmy się bez wahania”, komentuje Elżbieta Wawrzynkiewicz. Odrestaurowany wóz ma trafić do muzeum w przyszłym roku.

Krzysztof Wilewski

Tekst powstał we współpracy z Wojskowymi Zakładami Motoryzacyjnymi w Poznaniu.



**KWARTALNIK
„POLSKA ZBROJNA.
HISTORIA”
TO SIĘ
CZYTA!**

dostępny w salonach Empik
i w prenumeracie

Polska Zbrojna

Projekt jubileuszowej serii edukacyjnej „Drogi do niepodległości” został przygotowany i opracowany przez zespół WIW pod redakcją Anny Putkiewicz.

Grafika: Marcin Izdebski, Korekta: Wydział Opracowania Stylistycznego, „Polska Zbrojna” i kwartalnika „Polska Zbrojna.Historia” Zdjęcia: Muzeum Powstania Wielkopolskiego, Narodowe Archiwum Cyfrowe, Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach, Cezary Pomykało, Koloryzacja: Mirosław Szponar Druk: Wojskowe Zakłady Kartograficzne sp. z o.o., ul. Fort Wola 22, 01-258 Warszawa.

wiw

Wojskowy Instytut Wydawniczy
Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

Dyrektor: Maciej Podczaski
Miesięcznik „Polska Zbrojna”

Redaktor naczelny: Izabela Borańska-Chmielewska
Portal www.polska-zbrojna.pl

Kwartalnik „Polska Zbrojna. Historia”
Redaktor naczelny: Anna Putkiewicz

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

Mecenasi wydania specjalnego



WOJSKOWE ZAKŁADY MOTORYZACYJNE S.A.

